

**Od autora:** Pierwsze opowiadanie po przerwie nieco dłuższej.

---

\*\*\*

Wstał, jak zawsze wcześniej niż inni. Ludzie dookoła, zamieszkujący razem nowoczesny apartamentowiec na przedmieściach wielkiego miasta, spali zwykle do ósmej, potem wstawali z trudem, często po zarwanej nocy i wychodzili do pracy na dziewiątą. On nie, on wołał pójść wcześniej spać i wstać koło czwartej. Wstawało mu się lekko, rześko, radośnie, z nadzieją, że nowy dzień przyniesie wreszcie odmianę losu, że słońce nie wybuchnie ze złości, że deszcze nie będą zbyt mokre, a ludzie zbyt nienawistni. Tego dnia wstał też koło czwartej, bez budzika, obudzony jedynie kończącymi się snami dzieciństwa, jakże szczęśliwego i wewnętrznym zegarem, który miał sprawny mimo przekroczonej czterdziestki. Po wstaniu wykonał poranne rytuały, jak mycie, ubieranie, śniadanie (kawa, bułki kupione wieczorem, kefir naturalny z Kościana, paluszki rybne), wiecznie miętowy papieros i sprawdzenie poczty elektronicznej. Był uzależniony od sieci, jak większość rodaków. W mieście popołudnia nie tętniły dzieciakami uganiającymi się po podwórkach z kluczem na szyi, pustoszały place, wszyscy szybko, gnani jakimś przymusem, jakąś straszną siłą, wracali czym prędzej do domu, by wejść na “fejsa”, pooglądać młode pupy na “instagramach”, poplotkować na “pudelku”, poczatować na forach, wpisać jakieś rzygi w komentarzach i ogólnie zapomnieć o realnym świecie tuż za parapetem.

Ten dzień zapowiadał się więc zwyczajnie, codziennie, rutynowo. Jako przedstawiciel wolnego zawodu był modnym teraz “samozatrudnionym”, nazywanym inaczej “wolnym strzelcem”, czyli frilanserem, co znaczyło wszystko i nic zarazem. Jednak w przeciwieństwie do wielu strzelców, którzy nigdy nie trafiali i nie potrafili złowić zwierzyny pośród gęstych borów litewskich, on trafiał grube ryby, łowił bez przynęty, naturalnie, lekko, świetnie i wybitnie. Po prostu etat nigdy go nie kręcił - “mam robić coś dla kogoś przez całe życie” - powiedział sobie przed lustrem i zaraz następnego dnia po trzydziestych urodzinach, wiele lat temu, złożył wypowiedzenie w jednej z wielkich agencji reklamowych, gdzie wymyślał chwytliwe kampanie reklamowe, nośne hasła, teksty, które widzowie i słuchacze zapamiętywali, rozmawiali nimi, śmiali i parafrazowali w kłótniach i awanturach rodzinnych. Potem niewiele myśląc został pisarzem.

I wszystko byłoby fajnie i strasznie zwyczajnie, gdyby nie to, że już po tygodniu od rozpoczęcia nowego etapu napisał świetny tekst, który puściła mu największa gazeta w mieście. Był to wybitny esej, analizujący geopolitykę świata, z szerokimi horyzontami, podbudową filozoficzną, nieco naukowy - miał przecież do tego wszystkiego jeszcze tytuł doktorski - ale nie za bardzo, trochę ideowy, albo jak ktoś chce, ideologiczny, mocno spuentowany namalowaną pociągnięciem kilku rysów pióra wizją czekającej świat katastrofy nie tylko ekologicznej, ale i politycznej. Esaj zdobył setki tysięcy czytelników, a wersja elektroniczna miliony odsłon, tysiące komentarzy, setki repostów i udostępnień, pochwały redaktora, mnóstwo listów na skrzynce, głównie od młodych lasek, bo zamieszczone koło tekstu zdjęcie ukazywało przystojnego czterdziestolatka o blond ciemnych włosach, szarych, niegdyś błękitnych oczach, o wysokiej posturze, chudego i z wysokim czołem z zarysowaną linią myśliciela. Bo istotnie bywał myślicielem, a jako absolwent kilku kierunków humanistycznych miał wszystkie dane po temu, aby osiągnąć w życiu niemały sukces.

Po tym pierwszym z dawna szybkim jak efka w pełnym locie sukcesie nadeszły kolejne. Poszedł za ciosem, nie zwolnił, nie siedział na laurach w postaci wygodnej sofy z “IKEI”, nie powiedział sobie “dość, jadę na Seszele”, lecz dalej drążył, wiercił piórem w glebie rzeczywistości, chciał ją ogarnąć intelektualnie, spenetrować jak prawiczek dziewicę, posiąść, odznaczyć się i coś po sobie pozostawić. Teraz, w ko-

lejnym dniu nie było już tego zapachu, nie było już tego żaru, tego strzelającego pomysłami płomienia, a w święto ognia pozostał w ukryciu. Dziś miał pewien wyśniony pomysł - chciał mianowicie napisać najpiękniejszy wiersz wszechczasów. To, że taki wiersz gdzieś istniał w sferze potencji, by się wyrazić z deczka filozoficznie, było wiadomym wszem i wobec. Miał mnóstwo portali poetyckich, czytał wiersze na fejsie i ogarniał go niesmak, nienasycenie i niekiedy obrzydzenie zmieszane z zażenowaniem. Poziom wierszy był straszny. Oto jakieś niedoróbki, spisane w tramwaju na kolanie w drodze do strasznej, zniechęcającej pracy w jakiejś agencji reklamowej. Oto klasyczne pseudo-młodopolskie "szare godziny" i inne płody przeciętnych umysłów, zatrzymanych w rozwoju przez natrętą masturbację, palenie zioła i zmienianie co tydzień partnerek seksualnych, jakieś

ryzygowiny, między którymi trafiały się perły, ale cóż z tego, jak otoczone popiołami ze zgłiszczy literatury polskiej, która wydała Norwida. Ale przecież i on nie napisał najlepszego wiersza na świecie. Mając taki plan wziął się ostro do roboty. Najpierw musiał mieć pomysł. Wszystko od niego się zaczyna. Najlepiej zresztą, gdyby tych pomysłów było kilka. Potem przerwa, pomysł musi być zapisany, ręcznie, klasycznie, piórem "Pelikana", podarowanym przez ówczesną narzeczoną z okazji obrony doktoratu. Po przerwie na kawę i mentola dalsze etapy pracy. Mijały długie, jak wieczne śniegi Azji sekundy, mijały godziny męki, a między nimi minuty milczenia, w końcu zrobiło się południe, a on nie miał ani jednego pomysłu. Zjadł kuchence kawalerski obiad, dawno przestał chodzić do mamusi, a dziewczyny jak nie miał, tak nie miał. Kupował w pobliskiej "Żabce" zupki chińskie, makarony, nie znosił nawiedzonych diet, fitnessów, ekologii i "zielonej młodzieży". Dzieci-kwiaty to co innego, piwko wieczorkiem przez kinem domowym, bo namiętnie oglądał filmy z "Netflixa", puszczał niektóre w kółko, jak choćby nieśmiertelne "Pół żartem, pół serio" z młodą Monroe w roli głównej, te niekończące się dialogi z niezapomnianym "Nobody's perfect" na końcu, gdy bohaterowie odpływają motorówką z hotelu nad brzegiem jakiegoś modnego wtedy kurortu. Są filmy, które się nie starzeją. Ten tworzony wiersz też miał być wiecznie żywy. Ale nie był. Nie miał nadal dostępu do bogactwa rzeczywistości, nie znał hasła, nie miał kodu, szyfr pozostawał niezwykłym. Prawdziwa sztuka broni zazdrośnie swoich sekretów. Miał świadomość, że może nigdy tego wiersza nie napisze. Ale próbował, robił, co mógł. Po obiedzie, koło 14-tej postanowił przespać się z nieistniejącym jeszcze utworem poetyckim. Może go wyśni? Ale czy wtedy będzie zasługą, gdy ograniczy się do przepisania? Czy właśnie największe dzieła nie powstają w mękach ciała i ducha? W każdym razie zasnął. Kiedy się obudził, ujrzał swój pokój mocno odmienionym. Wszędzie wisiały skrawki pergaminu, rozpoznał je na pierwszy rzut oka. Nad zielonym dywanem w kwiaty już nie wisiał prosty żyrandol z "Ikei", lecz niemal dziewiętnastowieczny lichtarz, jakie można już tylko poznać w kościołach neogotyckich na Pomorzu. Zdziwiony tą nagłą odmianą miejsca, gdzie na kilkudziesięciu metrach żył i działał, wstał z beżowej sofy i podszedł do ściany naprzeciw okna, które wychodziło na malownicze podwórk.

Wyjrzał i ujrzał zamiast swojego bmw, kupionego po pierwszych sukcesach w nowym życiu za wysokie honoraria z pisania, jakieś czarne dorożki. Konie smutnie zwieszały głowy, zapadał zmierzch jesienny, był przecież listopad. Lubił jesień i byłby dalej się przypatrywał podwórku, lecz ogarnął go nie wiedzieć czemu niepokój: te skrawki, ten lichtarz, te dorożki...Coś nie gra. Cofnął się, zasłona znowu miękko i bezszelestnie zasłoniła widok za parapetem i podszedł bliżej ściany. Na skrawkach były jakieś nieczytelne hieroglify, niemal egipskie, a może jeszcze wcześniejsze, babilońskie, a może... Patrzył na nie i nic nie rozumiał. Były to fragmenty, pełno ich na każdej ze ścian, niektóre odpadły i walały się na wyczyszczonej "karcherem" podłodze z la strico, niektóre leżały na mahoniowym biurku blisko jego laptopa. Ze zdumieniem ujrzał, że zamiast ciemnego wygaszacza ekranu, włączony był edytor tekstu. Bliżej podchodząc, nałożył silne okulary - od wieloletnich i licznych lektur siadł mu wzrok - i zobaczył tytuł pliku: "najpiękniejszy wiersz wszechczasów". Niewiele myśląc, sądząc, że nadal śpi, kliknął plik i usiadłszy wygodnie na fotelu na kółkach z poręczami, też z "Ikei" zaczął go przeglądać. Lecz gdy tylko rozpoczął czytanie, a pierwsze słowa go zmroziły, stało bowiem napisane w incipicie czarno na białym: "śmierć na-

dejdzie nocą...” nagle ekran zgasł i jednocześnie słowa dalsze zmieniły się z polskich na takie same hieroglify, jak te z pergaminów. Próbował je zrozumieć, na próżno. Wtedy postanowił sam spróbować coś napisać. Miał już niezły początek. Tak, często się zdarza, że śmierć przychodzi nocą. Ostatecznie od takiej, nagłej i niespodziewanej chcieli się uchronić dawniej ludzie, śpiewając tego typu suplikacje w kościołach na całym świecie. Dziś taka śmierć jest wręcz pożądana, jak piękna, naga pani, czysta i niewinna prawda, która wyjdzie na spotkanie wszystkim po kolei. Napisał więc: “śmierć nadejdzie nocą jak nagły błysk w lesie...” i przerwał: “nie, tak nie może być” - pomyślał i wykasował strzałką wers, chwilę podumał i zmienił na: “jak nagły błysk we wrzęciu”. Też nie, zawyrokował i skasował. Wpisywał wciąż nowe wersy, kasował i znowu, a ścienny zegar pokazywał godzinę drugą w nocy. Wreszcie dał za wygraną, lecz wersje wcześniejsze pozostawił. Cóż, musiał zgodzić się z tym faktem, że być może nie napisze najlepszego wiersza świata. Ba, mało tego, może takiego wiersza, choćby istniał nie napisze nikt z żyjących obecnie. A może taki wiersz już został napisany, leży wyryty gdzieś na jakiejś tabliczce glinianej, a może kamiennej, albo

spisany na papirusie spoczywa gdzieś w jakiejś piramidzie. Może taki wiersz w ogóle nie istnieje, nie da się go więc napisać. Może są tylko ładne i ładniejsze wiersze, a tego “naj” zwyczajnie nie ma? Tak myśląc spojrzął na ścianę raz jeszcze i zmarł: na jednym ze skrawków pergaminu zamiast hieroglifów, widniał znajomy incipit i cały gotowy tekst. Podszedł i przeczytał po cichu, potem drugi raz na głos i krzyknął ze zdziwienia. Nigdy czegoś takiego nie czytał. Miał przed sobą gotowy najpiękniejszy wiersz, jaki znał. Szybko rzucił się do szuflady, aby wziąć coś do pisania i długopis. Lecz tak się złożyło, że potknąwszy się na dywanie w kwiaty, spadając na dość śliską podłogę, uderzył skronią o kant biurka. Poczul okropny ból, a uderzając ciałem o powierzchnię, dostrzegł jeszcze oddalający się pokój, pergamin z tekstem i okno, teraz odsłonięte, za którym na nocnym, gwiazdzystym niebie spadały niczym świętojańskie fajerwerki ognie, iskry i komety. Tracąc świadomość zapamiętał wiersz ze ściany, którego ostatnie słowa brzmiały: “...dopóki rośnie nadzieja...” i wtedy ciemność go zatopiła w swych niezmierzonych, mrocznych odmętach.

\*\*\*

Rankiem zaniepokojony brakiem odzewu telefonicznego brat poety, z którym ów był w zażyłych relacjach, przyszedł i znalazł go leżącego na sofie. Pisarz nie dawał już znaku życia, ale dla pewności zszokowany brat wezwał kogo trzeba. Przybyły mężczyzna w bieli po krótkim badaniu stwierdził to, co zwykle stwierdza się u progu tamtej strony. Zabrano poetę na specjalnych noszach, wniesiono do przybyłego międzyczasie ciemnego samochodu kombi, a panowie w białych rękawiczkach dobrze wiedzieli, jak się zachować i co robić dalej. Brat zmarłego, jak się okazało na rozległy atak serca, który prawdopodobnie miał miejsce około drugiej w nocy - “brat nie miał szans, nikt ich we śnie nie ma” - mówił lekarz, jeszcze chwilę został w pokoju. Wtedy na niewygaszonym ekranie laptopa ujrzał czarne litery na białym tle. Przeczytał, podumał i nie zapisawszy z szoku tekstu wyłączył peceta. Trudno opisać szok, jaki w następnych dniach rozegrał się w rodzinie poety. Na szybko zaimprovizowanym pogrzebie odegrano jego utwór muzyczny, zapłakani rodzice zaśpiewali razem z chórem, w którym pisarz śpiewał przez ponad dwadzieścia lat, a znajomy ksiądz wygłosił płominne kazanie. Traf chciał, że zakończyło się ono słowami: “...dopóki rośnie nadzieja...”

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Rafał Sulikowski, dodano 14.08.2019 14:37

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).